

Zdzisław Łapiński

Elegia na odejście nowomowy

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4, 1-3

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Elegia na odejście nowomowy

Jakże piękna to była i nieoczekiwana kariera! Nowomowa jako źródło natchnień lirycznych i przedmiot uczonych dywagacji. Ten dialekt biurokracji partyjnej — zmieniony w tworzywo poetyckie przez Nową Falę, opisywany i wyjaśniany przez historyków literatury, językoznawców i socjologów — stawał się z biegiem lat bytem coraz bardziej idealnym, wyniesionym ponad praktykę życia.

Jego apologetci traktowali go od dawna jak obrządek martwej już wiary, jego bluźniercy poczynali sobie z rosnącą bezkarnością. Wkrótce też stało się jasne, że krytyka języka jest krytyką całego systemu społecznego. Dobrze nam się żyło z nowomową! Dziś możemy powiedzieć z poczuciem należycie spełnionego obowiązku: w podkopywaniu systemu mieli swój udział poloniści. Ale kiedy my i nasi sąsiedzi skupialiśmy całą uwagę na mowie zrodzonej w zakamarkach instancji partyjnych, resztę świata intelektualnego, a w każdym razie jego dociekliwsze umysły, zaprzętał program bardziej wyrafinowany.

Zaczęto tam przyglądać się pod nowym kątem tekstom uchodzącym za wzór myśli samowystarczalnej, tj. dziełom artystycznym i naukowym. Dostrzeżono w nich tę samą grę interesów — klasy, płci, rasy, pokolenia — co w tekstach bezwstydnie perswazyjnych. Od czasów Mikołaja Marra i jego szkoły (zjawiska groźnego w ówczesnym klimacie Sowietów, ale w sferze czysto konceptualnej obfitującego w błyskotliwe pomysły) — nie próbowano w tak drastyczny sposób pozbawiać faktów kultury ich politycznej niewinności. Z naszej jednak perspektywy, ten radykalizm sam siebie obezwładniał. Skoro wszystko podszyte jest żądzą dominacji, na dalszy plan schodzą stopnie jej nasilenia. Przesadny brak zaufania do języka, jak każdy niepohamowany sceptycyzm, stępieja naszą wrażliwość na różnicę grubo ciosaną, ale

konieczną do przeprowadzenia w życiu, różnicę między tekstem propagandowym a tekstem pośrednio tylko ożywionym przez impuls ideologiczny, dalej zaś na różnicę między prawdą a fałszem, zamiarem godnym pochwały a zamiarem przewrotnym, rozsądkiem a odruchem irracjonalnym. Doświadczenie ludzi, którzy zetknęli się ze współczesnym państwem despotycznym — w wydaniu nazistowskim, komunistycznym lub islamskim — kazało przyjmować ze wzruszeniem ramion zawile rozważania dotyczące pośrednich sposobów przymusu i zakamuflowanej propagandy. My mieliśmy do czynienia z przymusem bezpośrednim i propagandą ostentacyjną.

Odwracając się z lekceważeniem od gabinetowych buntowników na Zachodzie i ich problematyki, zajęci pastwieniem się nad dawno już spetryfikowaną i bezsilną nowomową, zaczęliśmy coraz częściej sięgać po broń retoryki, zwykle bezkrytycznie, nie dopuszczając do siebie myśli, że może się ona pewnego dnia obrócić przeciwko nam samym. I oto nadszedł moment, kiedy scena publiczna stanęła otworem dla nieskrępowanej walki na słowa. Mamy wreszcie perswazję, a i demagogię z prawdziwego zdarzenia, taką, która wychodzi od bliskich nam przyzwyczajęń, potrzeb i wierzeń. Obcując ze strupieszalą postacią propagandy, zapomnieliśmy jak atrakcyjna może być wypowiedź publiczna, gdy słuchający czuje do głębi osobisty kontakt z mówcą, mówca zaś może grać na prawdziwych uczuciach swego audytorium, nie rezygnując przy tym ze swoich własnych celów politycznych, tj. z walki o władzę.

Ta forma mowy perswazyjnej ma swoje miejsce w ustroju demokratycznym, ale jej wybuch zastał nas źle przygotowanych. Przyzwyczajeni do języka, który wymierzony był przeciwko wspólnemu i oczywistemu wrogowi, czujemy się zaskoczeni, gdy wypracowane w nim skróty myślowe i zawarty tam ładunek uczuciowy obracają się do wewnątrz, ku składnikom scalonej do niedawna zbiorowości. Ojóż trzeba się pogodzić z tym, że ów kolektywny podmiot języka naszej samoobrony (by posłużyć się określeniem Anny Wierzbickiej) już nie istnieje i że wraz z jego rozpadem wyłoniły się różne nowe narzecza polityczne. Narzecza te, jak i osoby nimi się posługujące, wchodzić w nieoczekiwane sojusze i związki. Opis tego procesu to wdzięczne zadanie dla ludzi, którzy zajmowali się dotąd nowomową.

Ale czy analiza dyskursu nam współczesnego i wpływającego na nasze losy może być całkiem bezstronna? Czy da się określić domniemane cele polityczne i prowadzące do nich środki słowne, nie odstawiając zarazem naszego stosunku do nich? Wątpliwe. Rzecz raczej w tym, byśmy z analizy wynieśli wzmoczony stan świadomości — językowej i nie tylko językowej.

Najlepszym lekarstwem na demagogię jest bowiem trzeźwość, krytycyzm, samowiedza.

Można posługiwać się niepoprawną polszczyzną, wikłać w sprzecznościach, i być świetnym, bo przykuwającym uwagę i oddziałującym w pożądanym przez siebie kierunku mówcą. Można też być świetnym mówcą, pozostając w niezgodzie z rzeczywistością.

Ale słowa, choć służą także innym celom, są nie do zastąpienia właśnie przez swoją władzę odnoszenia się do niezależnie od nas istniejącej rzeczywistości. Nawet wówczas, gdy tylko coś komuś nakazujemy, lub do czegoś nakłaniamy, w tle pozostaje niedopowiedziany stan faktyczny — jak go sobie wyobrażamy i jak go sugerujemy słuchaczowi. Imperatyw rzeczywistości, chęć spojrzenia na nią bez pocieszających złudzeń, poddaje słowa, nasze i cudze, najsurowszemu sprawdzianowi. Reszta jest czymś pochodnym. Dlatego teoretyczna znajomość zasadzek, jakie się w słowie kryją, oraz biegłość w rzemiośle nie wystarczają. Jeśli podejmują jakieś zobowiązanie, to najlepszy słuch językowy moich słuchaczy nie pozwoli im zgadnąć, czy tego zobowiązania dotrzymam. Potrzebny jest jeszcze inny rodzaj wiedzy, np. czy obietnica jest w ogóle realna i jak wywiązywałem się z poprzednich zobowiązań.

Mimo to warsztat historyka literatury nie jest tu chyba bezużyteczny. Przecie zawsze ciekawilo nas nie tylko, co autor miał na myśli, ale i jakie motywy nim kierowały. Intrygowalo nas też oddziaływanie sił bezosobowych na układ słów i wynikający z nich sens. Wiedzieliśmy ponadto, że utwór powstaje po to, by go czytano, chce więc zachęcić do siebie, przekonać, uwieść. Wreszcie nie udało się nam nigdy zdusić w sobie świadomości faktu, iż słowa nabierają wagi przez swój związek z rzeczami, teksty zaś — dzięki swojej interpretacji świata. Pozwolilo to nam rozszerzyć swego czasu pole widzenia daleko poza literaturę i objaśnić zjawisko nowomowy. Teraz wylania się obiekt znacznie trudniejszy do uchwycenia, różne odmiany języka ideologicznego, którymi przemawia nie groteskowo obcy nam i wynaturzony stwór instytucjonalny, ale nasza własna „wspólnota komunikacyjna”. W bieżącym numerze „Tekstów Drugich” zadania tego podjęli się na prośbę redakcji dwaj socjologowie i jeden lingwista. Łatwo przewidzieć, że pokusie zmierzenia się z tym dynamicznym procesem nie oprą się w przyszłości również historycy literatury. Będzie to z pożytkiem i dla historii, i dla literatury.

Zdzisław Łapiński